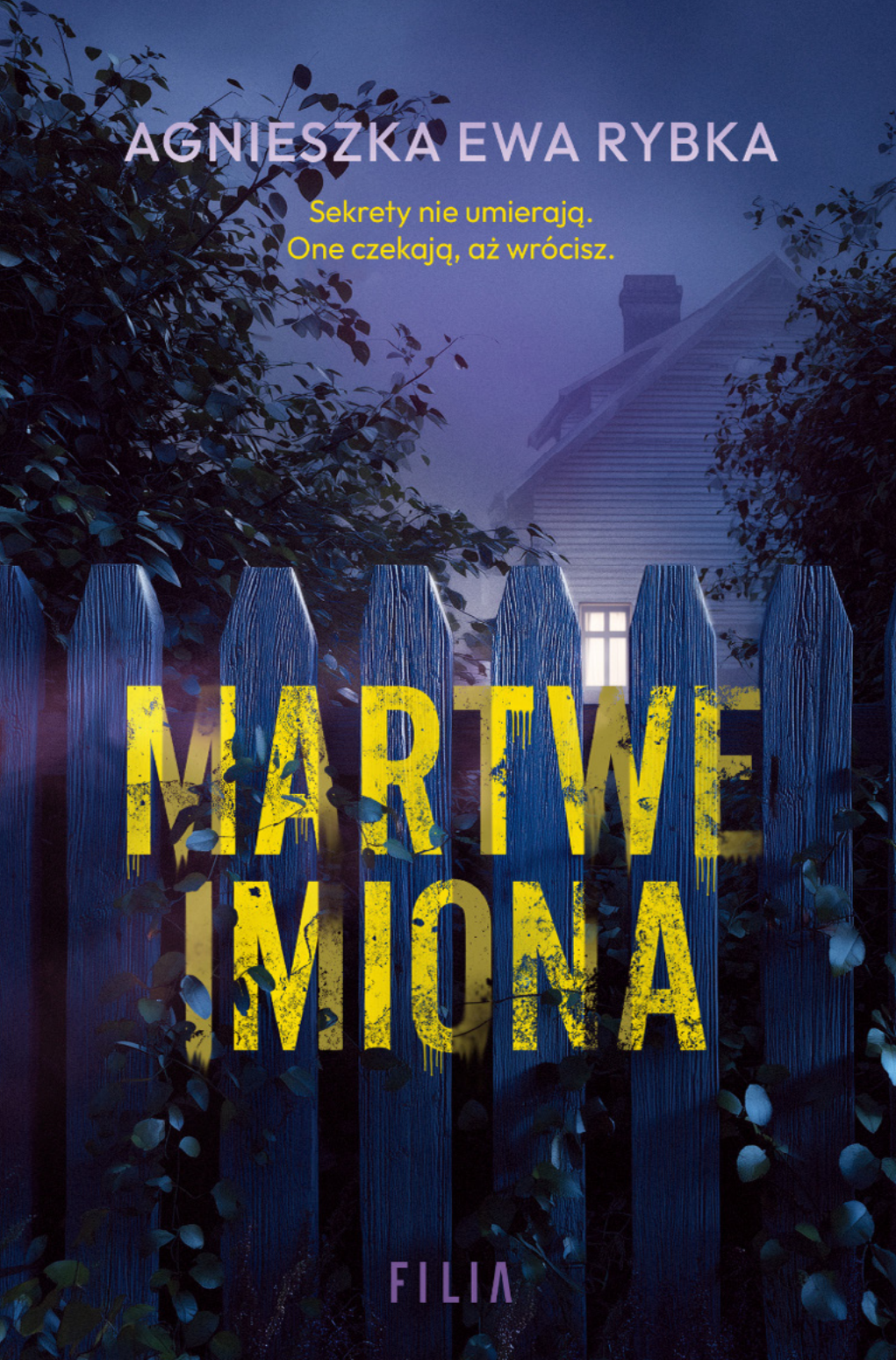




AGNIESZKA EWA RYBKA

Sekrety nie umierają.
One czekają, aż wrócisz.

MARTWA MIMIONA

FILIA

AGNIESZKA EWA RYBKA

MARTWE IMIONA

FILIA

Każdemu, kto czekał na moją kolejną książkę

„Zostawiłam je tam. Zostawiłam je tam, żeby umarły”.

„To wszystko poszło nie tak!” – pomyślała i ze złością postukała palcami w słuchawki, aby zmienić piosenkę. Gdy w uszach rozbrzmiało jej „Better Together” Jacka Johnsona, zezłościła się jeszcze bardziej.

– Co za gówno! – powiedziała głośno. Zatrzymała się, sapiąc ciężko. Wyszarpnęła słuchawki z uszu i schowała je do kieszeni legginsów. Oparła dłonie o kolana i pochyliła głowę. Zamknęła oczy i oddychała głęboko, starając się uspokoić. Jeden oddech. Drugi. Trzeci. Nagle usłyszała za sobą trzask łamanej gałęzi i obejrzała się wystraszona. Był wieczór. Godzina dwudziesta pierwsza, a ona wyszła pobiegać na obrzeża lasu. Biegała tą ścieżką od kilku ładnych lat, o różnych porach, i choć dźwięk łamanej gałęzi ją wystraszył, to szybko się opamiętała i z drugiej kieszeni legginsów wyjęła telefon. Włączyła latarkę i starała się dostrzec zwierzę, które narobiło tego hałasu. Sarna? Wiewiórka? A może jakiś pies innego wieczornego biegacza? Świeciła latarką na wszystkie strony, ale niczego nie dostrzegła.

„Widocznie za późno ją wyjęłam” – pomyślała i schowała telefon z powrotem do kieszeni. Zawahała się przez moment nad drugą kieszenią, tą, w której były słuchawki, ale uznała, że zagłuszanie złości muzyką w niczym jej nie pomoże. Ruszyła

truchtem przed siebie. Do domu miała niewiele ponad dwa kilometry, a więc mniej niż dziesięć minut biegu.

Wróciła myślami do kolacji w restauracji trzy godziny wcześniej. Powiedziała mu, że to koniec. Że ona tak dłużej nie może, że ich związek to jedno wielkie nieporozumienie i że on powinien uszanować jej decyzję.

– I po to chciałaś zjeść kolację w restauracji? – zapytał tak głośno, że kilka sąsiednich stolików umilkło i zaczęło ich obserwować.

– Proszę cię, ciszej – szepnęła gorączkowo, próbując złapać go za dłonie, ale on gwałtownie się odsunął od stolika. – Przecież oboje wiemy, że to nie ma żadnej przyszłości.

– Nie ma przyszłości? – Rozszerzył ze zdumienia oczy, a po chwili pojawiły się w nich łzy.

„Kurwa” – pomyślała. „Jeszcze tego brakuje”.

– Ja ciebie kocham – powiedział głośno. – I z tego, co mi wiadomo, ty kochasz mnie. Więc jak to może nie mieć przyszłości? A nasza przeszłość? To, co razem przeżyliśmy?

Restauracja była wypełniona ludźmi, a mimo to zrobiło się w niej teraz tak cicho, że jedynym dźwiękiem była delikatna muzyka sącząca się z głośników. Wstała.

– Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia – powiedziała, po czym wyjęła z torebki trzydzieści euro i położyła je obok swojego talerza. – I nie kocham cię.

Popatrzył na nią, jakby go spoliczkowała. Ona też wystraszyła się swojej brutalności. Przeknęła z trudem ślinę i pośpiesznie opuściła restaurację.

Pokręciła głową, próbując teraz wyrzucić z głowy obraz jego zbolalej twarzy, i zapatrzyła się w ciemność przed sobą. Zostały jej ostatnie metry do zakrętu, za którym zobaczy w oddali

latarnie uliczne i świecące się w oknach domów światła. Nagle jednak potknęła się na leśnej ścieżce.

– Niech to szlag – syknęła ze złością i kucnęła, próbując rozmasować bolącą kostkę. Odetchnęła z trudem. Analizowała tę kolację po raz nie wiadomo już który. I za każdym razem dochodziła do tego samego wniosku. Nieodpowiednie miejsce. Nieodpowiednie słowa. Nieodpowiednie wszystko. Podnosiła się akurat do pozycji stojącej, gdy za jej plecami ponownie tego wieczoru rozległ się trzask łamanej gałęzi. Obróciła się błyskawicznie. To już z pewnością nie było zwierzę. Serce zaczęło jej walić jak szalone, oddech przyspieszył, oczy rozszerzyły się maksymalnie, a ręce desperacko próbowały wyjąć z kieszeni telefon. Rozległ się jeszcze jeden trzask zdecydowanie bliżej niej, a nią oślawdnął paniczny strach. Poczula, że musi uciekać. Odwróciła się w kierunku zakrętu, chcąc jak najszybciej znaleźć się w zasięgu światła. I ludzi. Zdołała zrobić zaledwie jeden krok, gdy czyjaś silna dłoń chwyciła ją za usta, a ramię owinięło się wokół jej ramion i zaczęło ciągnąć między drzewa.

– Puść... – zdołała tylko wydusić, bo poczuła w ustach zwinęty w kulę twardy materiał. Usiłowała go wypłuć, ale zamiast tego zachłusnęła się i materiał przyległ jej do tylnej części gardła, powodując odruch wymiotny i szczypiące łzy w oczach. Dłoń ponownie zacisnęła się na jej ustach, a całe jej ciało zostało brutalnie popchnięte na drzewo. Poczula przy policzku twardą korę, a za sobą przygwożdżający ją do niej silny tułów. Usłyszała charakterystyczny dźwięk rozpinanej klamry od paska spodni i spróbowała się wyszarpnąć. Nie udało jej się ruszyć nawet o milimetr. Ugięła nogę w kolanie, tę, na której się potknęła, i spróbowała go kopnąć. Zrobiła to za późno, zdążył się odsunąć. Chwytając bolesnie jej lewą dłoń i stając po drugiej

stronie drzewa naprzeciwko niej, wychylił się po jej prawą rękę. Szarpnęła się, żeby uciec, jednocześnie waląc go prawą dłonią po twarzy. Kula materiału w ustach już jej nie przylegała do tylnej ściany gardła, ale była tak wielka, że nie mogła jej wypłuć. Szarpnęła jeszcze raz lewą ręką, jednocześnie kierując ciało w stronę ścieżki, ale on pociągnął ją tak mocno, że przywalila policzkiem w twardą korę drzewa. Uderzenie było tak silne, że zakręciło jej się w głowie i mimo materiału w buzi ugryzła się w język. On chwycił jej drugą dłoń, pociągnął ją do siebie i związał obie dłonie za drzewem paskiem od spodni. Ścisnął klamrę tak mocno, że aż zapiekło i zrobiło jej się jeszcze bardziej niedobrze. Materiał w jej ustach był śliski od krwi i śliny i odchrząknęła, aby go wypłuć, ale on wcisnął jej go palcem głęboko do gardła i stanął za nią, przytwierdzając ją ciałem do drzewa. Usłyszała rozpinanie zamka, a potem poczuła, jak jej legginsy i majtki są z niej brutalnie zdzierane. Już nie walczyła. Chciała tylko nic nie czuć, ale zamiast tego poczuła bardzo mocne pchnięcie, a na policzkach ciężkie łzy.

– Nasza przeszłość też już nie ma dla mnie żadnego znaczenia – powiedział jej do ucha, gdy skończył, owiewając jej twarz zapachem wódki. Rozwiązał jej dłonie, a potem bez słowa wyszedł na ścieżkę, depcząc głośno po liściach i drobnych gałązkach.

Stała sama w ciemnym lesie, wciąż obejmując ramionami drzewo. Wstuchiwała się w odgłos jego kroków, niepewna, co dalej. Wszystkie zmysły miała wyostrome i choć mogła teraz uciec czy wołać o pomoc, to stała w bezruchu jeszcze długo po tym, jak jego kroki kompletnie ucichły. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze przez nos. Był bezwietrzny wieczór. Wczesna wiosna. W lesie panowała całkowita cisza. Nie szumiały drzewa, nie śpiewały ptaki. Nie było

słyszeć absolutnie żadnych dźwięków. Poza jej urywanym oddechem. Spodnie i majtki miała zsunięte aż do kostek, a nogi wciąż w rozkroku. Takim, w jakim ją zostawił. Nie było jej zimno. Gdy zdała sobie sprawę, że on odszedł i już do niej nie wróci, przestała czuć cokolwiek. Miała pustkę w głowie. Z kącika ust wyciekła jej strużka gęstej śliny i w końcu uświadomiła sobie, że wciąż ma w ustach ten obrzydliwy materiał. Chwyciła go palcami i poczuła, jak cała zawartość żołądka podchodzi jej do gardła. Zdażyła się tylko oprzeć dłonią o drzewo i wymiotowała sobie pod nogi.

Ktoś lizał ją po policzku i z przerażeniem otworzyła oczy, podrywając się do pozycji siedzącej. Aż nią wstrząsnęło ze strachu, a wielka czarna głowa obwąchiwała teraz kałużę wymiocin tuż obok niej. Był świt. A ona wciąż była w lesie. Nie pamiętała, kiedy położyła się na zeschniętych liściach. Ani kiedy zasnęła. Albo kiedy zemdlała. Podciągnęła majtki i legginsy. Pies znów podszedł do niej i zaczął obwąchiwać jej zraniony policzek. Znała go. Piękny czarny husky syberyjski sąsiada spod czwórki. Odepchnęła jego głowę i z trudem dźwignęła się na nogi, jednocześnie wycierając sobie ręką nos. Dostrzegła jeszcze na ziemi swój telefon i jedną słuchawkę. Podniosła je, nawet nie zaprzatając sobie głowy szukaniem drugiej słuchawki. Ból w kroczu był bardzo dotkliwy, a na nadgarstkach dostrzegła czerwone piekące ślady po ciasnym skórzanym pasku, którymi były związane. Gardło miało wyschnięte i okropnie podrażnione, a język spuchnięty z lewej strony.

– Aaron! – usłyszała wołanie sąsiada, gdzieś z głębi lasu. Pies w odpowiedzi zaszczekał głośno i nie ruszył się od niej. Pilnował jej i wołał swojego pana na pomoc.

Poklepała go po głowie, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Szkoda, że nie spacerowaliście tutaj wczoraj – wyszeptała, a każde słowo wydobywające się z jej poranionego gardła fizycznie bolało. Ruszyła przed siebie, obejmując się ciasno ramionami i czując na zranionym policzku ślinę psa. Akt dobroci po wyjściu z piekła.

ROZDZIAŁ I

– Jak się czujesz? – zagadnął ją Joris, a Annemarie wreszcie odwróciła się od okna i na niego spojrzała. Lekko kręcone blond włosy, takie same jak jej, miał w nieładzie. Byli do siebie bardzo podobni. Oboje wysocy, oboje dość szczupli, z takimi samymi ciemnoniebieskimi oczami i długimi nosami.

W odpowiedzi na jego pytanie wzruszyła tylko ramionami i na powrót zagapiła się w okno, patrząc na krajobraz. Zdążyła zapomnieć, jak długi może być wyjazd z lotniska Amsterdam Schiphol.

– Nie tak wyobrażałam sobie powrót do kraju – odpowiedziała cicho.

Joris westchnął głośno i na moment chwycił ją za dłoń. Miał takie ciepłe ręce, a przez ostatnie pół roku tak bardzo brakowało jej obecności najbliższej rodziny, że poczuła wzbierające w oczach łzy.

– Myślisz, że to kara? – zapytała, patrząc ponownie na swojego brata. Zaciśnął szczęki i przyspieszył, zmieniając pas na lewy. – To, że teraz tak obrywamy? Ty i ja?

– Kara za co? – odezwał się cicho, wracając na prawy pas.

– Za nasze dzieciństwo i wczesną młodość – odpowiedziała. – Ciepły, pełny, kochający się dom. Nigdy niczego

nam nie brakowało. Łatwo kończyliśmy szkoły, łatwo znajdowaliśmy pracę. Rodzice wciąż się kochają i wciąż są razem. Za piękne, aby mogło trwać wiecznie.

– I myślisz, że to dlatego twój mąż zginął, a moja żona właśnie umiera w szpitalu? – Joris powiedział to tak groźnym szeptem, że Annemarie aż się wzdrygnęła.

– Przepraszam – powiedziała, szybko ocierając z oczu łzy. – Jak się czuje Helena?

Joris odetchnął głęboko i otarł dłonią czoło.

– Jest źle, Anne. Bardzo źle. Zaledwie dwa procent ludzi z tym nowotworem dożywa następnych pięciu lat. – Joris zamilkł i z całej siły zacisnął palce na kierownicy, a Annemarie zauważyła, że brat próbuje zatuszować drżenie dłoni. – A Helena jest w pozostałych dziewięćdziesięciu ośmiu procentach. – Joris otarł sobie szybko oczy, a Annemarie odwróciła się do okna, aby go jeszcze bardziej nie krępować. To był pierwszy raz w życiu, gdy widziała swojego brata tak zrozpaczonego. – Ona nie dożyje trzecich urodzin bliźniaków.

Annemarie położyła mu dłoń na ramieniu i je uściśnęła. Otworzyła usta, aby jakoś go pocieszyć, ale wszystko, co przychodziło jej na myśl, wydawało się zupełnie nieodpowiednie. „Będzie dobrze”, gdy właśnie usłyszała, że nie będzie? „Współczuję”, gdy kompletnie nie wiedziała, co Joris w tym momencie przeżywa? „Czy mogę jakoś pomóc?”, gdy doskonale wiedziała, że nikt Helenie już pomóc nie może? Miała kompletną pustkę w głowie, a do tego Joris uparcie patrzył na drogę, więc w końcu zabrała dłoń z jego ramienia i zapatrzyła się w okno. Byli na wysokości Hoofddorp. Jeszcze kilka minut i wróci do swojego domu. Nie towarzy-

szyły jej żadne pozytywne emocje. Była zbyt wstrząśnięta stanem Heleny i rozpaczą swojego młodszego o dwa lata brata, aby ekscytować się tym, że po ponad czterech latach życia w znienawidzonym Londynie wraca na stałe do Holandii. Przez większość pobytu w Wielkiej Brytanii marzyła o tym dniu, a gdy on w końcu nadszedł, nic nie okazało się takie, jak sobie wyobrażała. Rodzice mieli u siebie w domu dwuipółletnie bliźniaki Heleny i Jorisa. Joris dzielił każdy dzień między pracę i szpital i dopiero gdy czekała na start samolotu, dostała od niego esemesa, że odbierze ją z lotniska. Nie było już przyjaciół, których miała przez ponad trzydzieści lat mieszkania w Holandii. A do tego wracała sama. Do domu, w którym wciąż jest mnóstwo rzeczy Brandona. Każde z nich wzięło tylko jedną dużą walizkę. To przecież miały być jedynie trzy miesiące. Maksymalnie pół roku. Gdyby tylko wiedziała, co się tam wydarzy, to nigdy w życiu nie zgodziłaby się na ten wyjazd.

Wjechali do Bennebroek. Był ostatni czwartek października i choć dopiero dochodziła siedemnasta, zrobiło się już ciemno. Annemarie wpatrywała się w oświetlone domy i mimo woli zastanawiała się, czy rano, gdy będzie jasno, poczuje się lepiej. Bo teraz czuła się nieprzyjemnie obco. Kupiła tutaj dom tuż po studiach, gdy dostała pierwszą stałą umowę o pracę i mogła wziąć na siebie kredyt. Przez dwa miesiące jeździła po wioskach i mniejszych miasteczkach nieopodal Amsterdamu, aby znaleźć miejsce, gdzie poczuje się jak w domu. I tak znalazła Bennebroek. Malowniczo położona wioska zaledwie pół godziny drogi samochodem od Amsterdamu. Idealna lokalizacja, dom oddzielony od drogi dojazdowej rzeczką, nad którą wznosiły się urocze

mosty prowadzące do położonego tuż obok lasu. Wkrótce po niej wprowadzili się tutaj jej najlepsi przyjaciele. Dawni przyjaciele.

Joris zatrzymał samochód pod jej domem i wyłączył silnik, a Annemarie wychyliła się, patrząc na wielkie, pozbawione firanek okno swojego salonu. Widziała, że w otwartej kuchni po drugiej stronie domu pali się światło.

– W poniedziałek Helena dostanie wypis ze szpitala.

– Wypis... Jak to? – Annemarie oparła się z powrotem na fotelu i spojrzała zszokowana na Jorisa.

Brat patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Wszystkie możliwe metody leczenia zostały wykorzystane i wszystkie zawiodły – powiedział ze ściśniętym gardłem, a Annemarie kątem oka zobaczyła, że w salonie zapaliło się światło. – Najlepiej dla Heleny będzie, jeżeli umrze w domu. W otoczeniu rodziny. A nie sama w szpitalnym łóżku.

Annemarie westchnęła i przyciągnęła do siebie brata. Mimo że oboje byli jeszcze zapięci pasami, to Joris wtulił się w nią tak jak wtedy, gdy byli dziećmi, a ona jako starsza siostra pocieszała go, kiedy zranił się na placu zabaw.

Rozległo się delikatne pukanie w szybę od strony Jorisa, który wzdrygnął się na ten dźwięk. Claudia wyszła z domu i pochyliła się, uśmiechając się do nich radośnie.

– Wejdz ze mną do domu – powiedziała Annemarie, rozpinając pas.

– Innym razem, Anne. – Joris przekręcił klucze w stacyjce. – Może przyjedziesz do nas we wtorek? Rodzice przywiozą wtedy dzieci.

– Jasne, trzymaj się. – Pocałowała go w policzek i wyszła

z samochodu. Zanim zamknęła drzwi, pochyliła się jeszcze i powiedziała: – Dziękuję.

Wyjęła z bagażnika swoją walizkę, a gdy tylko zatrzasnęła drzwiczki, Joris odjechał.

– Claudia – odezwała się Annemarie, wyciągając ręce przed siebie.

– Señora – odpowiedziała Claudia i serdecznie uściśnęła Annemarie.

– Przestań tak do mnie mówić – powiedziała Annemarie, odsuwając się od niej, a po chwili przypomniała sobie, że przecież Claudia nie mówi po niderlandzku. Ani po angielsku. Zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu, aby jej to przetłumaczyć, ale Claudia odpowiedziała jej płynnym niderlandzkim:

– Wiem, wiem. Mam mówić po imieniu. Chodźmy do domu, przygotowałam ci kolację.

– Claudia, ty mówisz! – Annemarie po raz pierwszy od wielu miesięcy szczerze się uśmiechnęła. Chwyciła walizkę i ruszyła za Claudią do domu. Gdy tylko przekroczyła próg, uderzył ją w nozdrza smakowity zapach czosnku, cebuli, ostrej papryki, smażonego kurczaka i parmezanu. – Czy to ají de gallina, ten gulasz z kurczaka?

– Tak! – Claudia uśmiechnęła się przez ramię, idąc przez salon do kuchni. – Pamiętałam, że ci bardzo smakował.

– To prawda. – Annemarie zatrzymała się na środku salonu i rozejrzała dookoła. – I przez cztery i pół roku w Londynie nie mogłam dostać tak dobrego jak twój.

Było tu nieskazitelnie czysto. Panele lśniły wypastowane. Wielka brązowa kanapa z leżanką wyglądała, jakby była wyprana, poduszki były idealnie białe i równo ułożone. Szafka

Po czterech latach pobytu w Londynie Annemarie wraca do domu w Bennebroek, próbując odbudować swoje życie. Jednak powrót do rodzinnego miasteczka okazuje się początkiem koszmaru. W ogrodzie odkrywa kości noworodków. To, co miało być miejscem spokoju, staje się symbolem mrocznych tajemnic.

Wkrótce okazuje się, że wszyscy, których znała, stają się podejrzani. Brat, przyjaciel, zmarły mąż – każda osoba w jej otoczeniu skrywa coś, co może zmienić bieg wydarzeń. Annemarie zaczyna wątpić w rzeczywistość. Wraz z narastającym poczuciem niepokoju pojmuje, że granica między zaufaniem a paranoją jest coraz cieńsza.

**CZY MOŻNA ODNALEŹĆ SPOKÓJ, GDY PRAWDA,
W KTÓRĄ WIERZYSZ, NISZCZY WSZYSTKO?**

cena 49,90 zł

FILIA

Mroczna

ISBN 978-83-8402-425-6

